



I

Włodawa, maj 1928

Nie powinienem tu być.

To przeświadczenie nie było nowe. Przeciwnie, towarzyszyło mi właściwie przez całą drogę koleją na trasie z Warszawy do Brześcia Litewskiego i z Brześcia do Chełma, a nawet wcześniej, zanim w ogóle wsiadłem do wagonu i zająłem miejsce przy oknie. A może jeszcze wcześniej, nim spakowałem rzeczy do przetartej, skórzanej torby i wyruszyłem do Włodawy. Pojawiło się w chwili, gdy przeczytałem tę nazwę po raz pierwszy, niemal równocześnie z decyzją, że zgłoszę się tam do służby. Gdzieś daleko nad Bugiem, w miejscu, gdzie kiedyś przebiegała granica z Litwą, a dziś, na skutek powojennych rozsad, pozostało jedynie wschodnie miasteczko. W miejscu, którego nikt inny nie chciał objąć i w którym w moim dawnym życiu z pewnością nie chciałbym się znaleźć. Nie powinienem się zgłaszać do dowódcy ze słowami *ja pojadę*, ba! – nie powinienem nawet o tym myśleć, porzucić dawnego życia i zgadzać się na dobrowolne wygnanie z dala od wielkiego miasta i wszystkiego, co znam. Nie powinienem – a jednak zrobiłem to, na przekór zdrowemu rozsądkowi, plotkom i zawiedzionym spojrzeniom bliskich. A może właśnie dlatego? Może potrzebowałem tej ucieczki jako

remedium? Może potrzebowałem wyjechać, wszystkich zawieść i wszystko rzucić w diabły?

I tak u progu lata, które zapowiadało się na wyjątkowo upalne, wyruszałem samotnie na wschód, z walizką w dłoni i blizną na czole. Jechałem tam, gdzie – jak drwili niektórzy koledzy – wrony zawracają, a diabeł mówi dobranoc. *Polesie, nic, tylko laski, piaski i karaski*, klepali mnie po plecach z żałosnymi minami, udając, że mi współczują. Fałszywe bestie! Już ja ich znam! Pewnie w myślach dziękowali Niebiosom, że to ja, zamiast nich, wyruszam na ten wygwizdów.

Zdjąłem płaszcz, rozłożyłem na kolanach gazetę i raz jeszcze sprawdziłem, czy w portfelu nie mniej przetartym niż walizka mam bilet. Przebiegłem po nim wzrokiem, choć znałem treść tak dobrze, że obudzony w środku nocy mógłbym ją wyrecytować z pamięci. Tomaszówka. Stamtąd od Włodawy będzie mnie ponoć dzieliło tylko kilka kroków.

Kilka kroków, po których wszystko się zmieni.

W miarę jak oddalaliśmy się od stolicy, a zbliżali do Polesia, obojętnie przewracałem strony gazety, nie zatrzymując się dłużej na żadnej. Aż trudno uwierzyć, jak mało mnie teraz obchodziło to, co w niej opisywano, a co kiedyś niemal od razu pochłonałbym bez reszty. Teraz, z każdym kilometrem torów i każdą mijaną stacją, stolica i jej sprawy coraz bardziej się oddalały, aż wreszcie stały się właściwie nieistotne, zniknęły.

– Dzień dobry szanownemu państwu! – Wąsaty kolejarz wetknął głowę przez drzwi przedziału. – Poproszę bileciki do kontroli!

– Ja wysiadam zaraz! – oświadczył sąsiad, który próbował czytać mi przez ramię gazetę, na której ja sam nie potrafiłem się skupić, podał jednak kolejarzowi mały świstek.

Zrobiłem to samo.

– No proszę, Tomaszówka – odczytał głośno konduktor. – Jdzie pan do Włodawy?

– Tak – potwierdziłem, odbierając dokument. – Co to w ogóle za nazwa? – zapytałem. – Dziwna.

Kolejarz podrapał się w czoło, podważając daszek służbowej czapki.

– Nie dziwna, tylko stara – wyjaśnił. – Pan nietutejszy, to pan nie wie. *Wołyń woły dawa*. Albo po prostu *woły dawaj!* – wyjaśnił. – Tak się tu krzyczało na targach. A to porządne targi są, nie byle jakie! Ściągają tu całe bydło z Podola i z Wołynia i handlują, a ludzi jest co niemiarą, jak na żadnym odpuscie. *Woły dawaj* – powtórzył. – Stąd nazwa.

Próbowałem znowu czytać gazetę, ale w końcu odstąpiłem „Kurier Warszawski” sąsiadowi, a sam zacząłem kartkować mały przewodnik po wschodniej części Rzeczypospolitej. Nie było tam o Włodawie za wiele w porównaniu z takim Lublinem czy Chełmem, ale zawsze coś. Rzeczywiście, znalazłem wzmiankę o jarmarkach i jeszcze o rycerzu Włodzimierzu, od którego, według innych relacji, miała się wywodzić ta dziwnie brzmiąca nazwa. Miasteczko, do którego zmierzałem, było kiedyś jednym z grodów czerwieńskich, z drewnianą warownią na wzgórzu. Niestety, powstanie Chmielnickiego, a później przemarsz wojsk szwedzkich w czasie potopu zmiotły zamek z powierzchni ziemi.

Czytanie wciągnęło mnie do tego stopnia, że ani się spostrzegłem, jak zmieniło mi się towarzystwo. O tym, że sąsiad zniknął, a jego miejsce zajęła młoda blondynka z mniej więcej siedmioletnim chłopcem, przekonałem się dopiero, gdy ten kopnął mnie w łydkę tak mocno, że z zaskoczenia upuściłem książkę.

Kobieta poczerwieniała, jej twarz była niemal tak pąsowa jak starannie umalowane usta. Odłożyła *Chłopów*, po których, odkąd Reymont dostał Nobla, sięgali niemal wszyscy, i zerknęła najpierw na mnie – ze skrucą, a później na syna – z gniewem.

– Najmocniej przepraszam. My do Włodawy, do sanatorium kolejowego, ale syn już się nudzi. Mareczku, przeproś pana.

W odpowiedzi Mareczek pokazał mi język.

– Mareczku!

Matka skarciła go najpierw wzrokiem, później słowami, a kiedy to nie pomogło, wpiła mu palce w przedramiona, aż pisnął. Trudno określić, dlaczego: z zaskoczenia czy z bólu.

– Powiedziałaś, żebyś się uspokoił. – Słodki głos blondynki brzmiał teraz surowo jak u urzędniczki, która strofuje kogoś za źle wypełnione dokumenty. – Jeśli nie przestaniesz, przyjdzie po ciebie mamuna. Zabierze cię i nigdy już cię nie zobaczę. Podrzuci mi własne dziecko, małego potworka, szkaradnego i kapryśnego. Będzie wrzeszczał wniebogłosy dzień i noc, nosił twoje ubrania i spał w twoim łóżku, aż zupełnie zapomnę o moim małym synku. Zapomnę, że cię kiedykolwiek miałam...

W miarę jak mówiła, oczy dziecka wypełniały się łzami i teraz, kiedy skończyła, stało przed nią skamieniałe z przerażenia, a łzy płynęły mu po policzkach. W ciszy było słychać miarowy stukot wagonów, który może niósłby ukojenie, gdyby nie koszmarna historia. Blondynka sięgnęła do torebki po szminkę i przesunęła nią po górnej wardze. Kto by pomyślał, że z tak ładnych ust mogą wypęczać tak paskudne opowieści.

– Ja nie chcę... – Chłopiec zachłysnął się własnymi łzami. – Nie chcę, żeby mamuna mnie zabrała.

– Bądź więc grzeczny. – Na umalowane usta powrócił uśmiech, głos znów był słodki i przesadnie miły. – Grzecznych dzieci mamuny nie porywają. Grzecznych dzieci w ogóle nie spotykają złe rzeczy.

Napotkałem wzrok malca: policzki miał nadal mokre, a oczy w kolorze rozwodnionej, niebieskiej farby wytrzeszczone z przerażenia. Widocznie uwierzył w każde słowo makabrycznej opowieści. Swoją drogą, ciekawe tu mają metody wychowawcze, pomyślałem. Dobrze, że mnie straszono jedynie złotą kaczką albo bazyliiszkiem, ale tamte miejskie legendy nijak się miały do wiejskich opowieści

o mamunach. Błądły przy nich i znikały, niewyraźne jak szkic przy gotowym obrazie.

– Hej, nie bój się. – Wyciągnąłem do niego dłoń, ale cofnął się, jakbym był potworem z opowieści jego matki albo trzymał podobnego w przetartej walizce. – To tylko bajki.

– To nie bajki. – Uśmiech nie schodził z ust blondynki, ale w jej oczach, tak samo błękitnych jak u syna, czaiło się coś mrocznego. Była chodzącym kontrastem: słodczy i gorycz, śliczna twarz i przerażające powieści, piękny uśmiech i lodowaty wzrok.

– Nie bój się – powtórzyłem do chłopca.

Jej lodowate spojrzenie przeszło mnie na wskroś.

– A pan się nie boi?

Kiedy zeskakiwałem na deski peronu w Tomaszówce, zegar wskazywał czwartą po południu. Na wszelki wypadek sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i moje palce prześlizgnęły się po czymś zimnym jak kawałek lodu i równie śliskim jak on. Nawinałem na nie łańcuszek i pociągnąłem do góry, by wydobyć otwierany zegarek. *Dum vivimus, vivamus* krzyczała pisana pochyłym, pełnym zawijasów pismem sentencja na kopercie, nie przywiązywałem jednak do niej wagi, gdy patrzyłem na tarczę. Właśnie minęła czwarta – a więc zegar na stacji się nie mylił, choć dałbym głowę, że moja podróż trwała o wiele, wiele dłużej. Tak jakbym opuścił Warszawę miesiąc temu, a nie zaledwie wczesnym rankiem. A może czas tutaj płynął inaczej? Wszystko tu zresztą było inne, o czym się przekonałem, gdy pociąg zaczął zwalniać i jeszcze z okien, gdy opadł ciężki, szarawy kurz, zobaczyłem kobiety dźwigające chrust, mężczyźni wyciągających łódki z wody i bose, umorusane dzieci. Obraz tak inny od tego, co znałem i pamiętałem z Warszawy.

Zacisnąłem palce na uchwycie walizki i rozejrzałem się wokół. Biała, podłużna bryła stacji z napisem *Tomaszówka* wydawała się tkwić pośrodku niczego. Kilka chałup z drewnianymi płotami,

które przylegały do niej z obu stron, nie pasowały do dworca zupełnie jak puzzle z innej układanki. Dwie staruszki sprzedawały na peronie kwiaty i krwioscie czerwone czereśnie. Wszystko to leżało wprost na deskach, przyprószone kurzem, ale od porannej kawy wypitej w stolicy nie miałem nic w ustach, skusiłem się więc na zakup, a płacąc, zapytałem:

– Daleko stąd do Włodawy?

Słyszałem, że linia kolejowa z Brześcia do Chełma nie przebiega przez samo miasteczko, liczyłem jednak, że chociaż z daleka dostrzegę wieżę kościoła, ratusza albo inną, typowo miejską zabudowę. Tymczasem znajdowałem się pośrodku niczego z przetartą walizką w dłoni i słodkimi owocami w ustach.

Staruszka przeliczyła monety, nim dobrze je ukryła pod kraciatą chustą.

– A to jeszcze kawał drogi, bo tu jest Tomaszówka. Przejdzie przez drewniany most, to dojdzie do miasta, musi ciągle na zachód iść. No i trzeba jeszcze bełk minąć.

– Bełk? – zdziwiłem się, bo nie słyszałem dotąd takiego słowa. – A co to jest?

– Rozlewiska przed młynem Lembergera. Bagna nie bagna, diabli wiedzą co, bo to nigdy nie schnie i na nic się nie przyda, ani stamtąd siano wozić, ani bydło pasać, złe miejsca, a tfu! – Splunęła pod nogi. – Jedyne, co dobre, to jak młyn pracuje, to ryby się tam zbierają. Makowski wyławia je stamtąd tonami. Ten to ma łeb do interesów.

– Kto to jest ten Makowski?

– Współwłaściciel młyna. Nasz młynarz zaradny i pracowity, czego się dotknie, zaraz ma z tego zyski. Drugiego takiego ze świecą szukać. A i sierotę przygarnął, no daj mu Boże zdrowie za jego dobre serce. No niech idzie. – Przegoniła mnie. – Tylko nad wodą niech uważa.

– Na co? – W samą porę ugryzłem się w język, by nie zapytać, czy wszystkich gości witają tu podobnie, strasząc ich na dzień dobry... no właśnie, czym?

Spodziewałem się, że staruszka raczej ostrzeże mnie przed chybliwym drewnianym mostem rysującym się na linii horyzontu, tymczasem ona zmrużyła oczy w dwie szparki i zapatrzyła się w dal. Dałbym sobie rękę uciąć, że wypatrywała czegoś po drugiej stronie rzeki, gdy rzuciła:

– Z wodą nic nie wiadomo. Jest jak serce człowieka. Kto by się domyślił, co kryje na dnie, tam, gdzie nie da się zajrzeć.

– A wasza woda coś kryje?

– Sam się przekona. – Zatrzymała wzrok na mojej sfatygowanej walizce, której brązowa skóra zaczynała już pękać, i to w kilku miejscach. – Jak zostanie tu na dłużej. Bo zostanie?

– Raczej tak – przyznałem, bo sam nie miałem pojęcia, ile czasu przyjdzie mi tu spędzić.

Pociąg po krótkim postoju ruszył na południe, w stronę Chełma, i nie było już powrotu. Nawet gdybym chciał. Pożegnałem się więc i wrzucając do ust owoc za owocem, ruszyłem w kierunku, który wskazała kobieta.

Droga ze stacji prowadziła najpierw wśród niskich, drewnianych chałup, ukrytych za szerniałymi płotami. Potem zabudowania zaczęły się przerzedzać i nie minęło pół godziny, a wyszedłem na otwartą przestrzeń już bez ludzkich siedzib. Uderzył mnie zapach koniczyzny i ściętej trawy, suszącej się w snopkach ustawionych w równe rzędy aż po horyzont. A przynajmniej do miejsca, gdzie urwisty brzeg spadał stromo w dół, przechodząc w piaszczystą skarpgę. Od Włodawy dzielił mnie jedynie most: skrzypiąca, drewniana konstrukcja na wysokich, solidnych przęsłach.

Za drewnianą balustradą połyskiwała rzeka Bug. Było niemal bezwietrznie, tafla pozostała więc nieruchoma jak ogromne, granatowe oko ocienione tatarakiem jak rzęsami. Stałem, by mu się

przyjrzeć, ale uległem wrażeniu, że to rzeka wpatruje się we mnie stalowymi oczami – ona albo coś, co się w niej kryło. Spojrzałem na swoje dłonie, w których miałem czereśnie: musiałem zgnieść owoce, bo teraz wypełniała je gęsta, ciemnoczerwona maź, którą strzepnąłem ze wstrętem. Zgniotłem je, a miałem się delektować słodyczą w drodze do miasta. Czereśnie, które tak lubiła Wiki.

Oderwałem wzrok od resztek owoców i ruszyłem tam, gdzie jak najwyższe drzewa majaczyły już przede mną dwie białe, kościelne wieże. Drewniany most skrzypiał pod każdym krokiem przybliżającym mnie nieuchronnie do Włodawy i nowego życia, które miałem tam zacząć.